

Literaturo- znawstwo jest po to, by uczyć myślenia

Z profesor Danutą Ulicką rozmawia Jagoda Wierzejska



Jakie było intelektualne i instytucjonalne zaplecze projektu *Wiek teorii. Sto lat nowoczesnego literaturoznawstwa polskiego*?

Zapleczem intelektualnym projektu była irytacja – na samą siebie i kolegów, którzy tworzyli polskie literaturoznawstwo. Irytacja, że w świecie istnieje jako początkowa, fundamentalna, do dziś nieprzekroczona i niepokonana teoria rosyjska, a także teoria czeska. Nikt natomiast nie wspomina o teorii polskiej. Kiedy dotarło do mnie, że większość życia naukowego poświęcam na tłumaczenie, omawianie i popularyzowanie teoretyków rosyjskich i czeskich, pomyślałam, że jest tu zasadnicza nierównowaga. O nas nie piszą nawet zaprzyjaźnieni i dobrze znający nasze prace sławiści – amerykańscy, niemieccy, francuscy. Próbowałam zrozumieć, dlaczego tak się stało? Być może moja odpowiedź na to pytanie nie jest jedyną możliwą, ale innej nie znam. Wtedy, kiedy kształtował się kanon literaturoznawstwa teoretycznego po drugiej wojnie światowej, my milczeliśmy. Kanon tworzyli emigranci, przede wszystkim rosyjscy i czescy, którzy zadbali o upowszechnienie – zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych – swoich odkryć z pierwszych trzech dziesięcioleci XX wieku, czyli tego, co nazywamy umownie formalizmem rosyjskim i strukturalizmem czesko-słowackim. Polscy emigranci ze świetnym zapleczem teoretycznym, na przykład Manfred Kridl związany z Columbia University, również pisali o teorii rosyjskiej i czeskiej, nie o polskiej. Trwało to przez następne pół wieku: Wiktor Weintraub, Stanisław Barańczak słowem o polskiej teorii nie wspomnieli. W „Kulturze” paryskiej nie było dla niej miejsca. Gdy kanon został ukształtowany i przypieczętowany monografią Victora Erlicha *Russian Formalism: History and Doctrine* z 1955 roku, to zaraz potem ożywiło się zainteresowanie teorią – głównie rosyjską – we Francji. Dwójka emigrantów, którzy zdecydowali się zostać w Paryżu, Tzvetan Todorov i Julia Kristeva, zaczęli Francuzów informować o formalizmie rosyjskim i Bachtynie, a Francuzi się zachwycili. Były to lata sześćdziesiąte. Todorov zrobił antologię rosyjskiego formalizmu, Kristeva spopularyzowała Bachtina, następnie te koncepcje trafiły do Niemiec i Wielkiej Brytanii, a w końcu wróciły do Stanów. Wtedy też nastąpiła druga fala emigracji rosyjskiej i czeskiej. Należeli do niej tacy ludzie, jak Lubomír Doležel w Kanadzie lub emigranci rosyjscy tworzący w Izraelu środowisko semiotyczne. Oni bardzo dbali o utrwalenie obrazu wyjątkowego nowoczesnego literaturoznawstwa rosyjskiego i czeskiego. A emigracja polska nadal milczała. Nazywam tę emigrację „małą”, nie tylko dlatego, że była mniej liczna niż rosyjska i czesko-słowacka, lecz również z uwagi na owo milczenie. Rzeczywistość emigracyjną trochę równoważyła szczególna sytuacja w Polsce, trwająca do 1989 roku. Z powodu większych swobód w porównaniu z innymi krajami bloku wschodniego Polska była swoistym repozytorium literaturoznawczym dla humanistów z Europy Środkowej i Wschodniej, ponadto krajowi literaturoznawcy potrafili przyciągać świat, przede wszystkim dzięki swojemu największemu ambasadorowi, czyli Romanowi Jakobsonowi. Jakobson jako jedyny pokazywał polską myśl literaturoznawczą światu. Był zaprzyjaźniony z Marią Renatą Mayenową. We dwoje potrafili organizować przedsięwzięcia, dzisiaj – wydaje się – niemożliwe do zorganizowania, na przykład pierwszą Międzynarodową Konferencję Poetyki w Warszawie w 1960 roku, która zgromadziła uczonych z dwunastu krajów – największe osobistości strukturalistyczne, semiotyczne i fenomenologiczne. A przecież wszystko odbywało się korespondencyjnie. Nawet telefon był luksusem! W Polsce realizowano też projekty, które przyciągały badaczy z regionu, takie jak „Słowiańska Metryka Porównawcza” Lucylli Pszczotowskiej (i innych) w Instytucie Badań Literackich. Siła

przyciągania tego zespołu, bezprecedensowego w skali świata, była nie tylko intelektualna, lecz również pragmatyczna. Uczestnicy dostawali służbowe wizy na służbowe paszporty i mogli trzy-cztery dni pobyt w Warszawie, w IBL-u, gdzie – jak mówił Michał Głowiński – znajdowała się najlepsza biblioteka literaturoznawcza od Odry po Władywostok, bo uczeni z różnych krajów przysyłali tam swoje książki za darmo. Jak powiedziałam, fakt, że byliśmy owym repozytorium i mogliśmy gościć największe osobistości literaturoznawcze, w pewnym stopniu rekompensował nieobecność literaturoznawstwa polskiego w kanonie światowym. Ale z pewnością nie w pełni. Uznałam zatem, że najwyższy czas pokazać światu *Polish Theory*. Złożyłam grant do Narodowego Centrum Nauki i szczęściem został przyznany.

Jak zbudowałaś zespół wykonujący projekt? Tworzą go głównie młodzi badacze, co koresponduje z młodym wiekiem inicjatorów polskiego literaturoznawstwa.

Praca powstała – z jednym wyjątkiem – w zespole Zakładu Poetyki, Teorii Literatury i Metodologii Badań Literackich Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Zakład ten dziedziczy historię polskiego literaturoznawstwa od jego początków. Po pierwsze, pod pierwotną nazwą Katedra Teorii Literatury stworzył go w 1955 roku Kazimierz Budzyk, który był jednym z uczestników rewolucji naukowej młodych i jednym z czterech najważniejszych członków Warszawskiego Koła Polonistów. To ważne, bo dyscyplina, jaką jest literaturoznawstwo, rodziła się wśród młodzieży, w kołach studenckich, a te szybko stały się antyinstytucjonalnymi instytucjami, ponieważ były wymierzone w zatęchłe uniwersytety, tradycyjne nauczanie akademickie i pozytywistycznie rozumianą historię literatury, której młodzi przeciwstawiali nowoczesne literaturoznawstwo teoretyczne. Po drugie, uczniami Budzyka byli nasi mistrzowie: Aleksandra Okopień-Sławińska, Janusz Sławiński, Michał Głowiński, Teresa Kostkiewiczowa, ludzie, którzy po wojnie – kontynuując schedę przedwojenną poprzez podręczniki czy *Słownik terminów literackich* – budowali instytucjonalne już podstawy dyscypliny. Dalsze dziedziczenie tej historii to Marzec 1968 roku, gdy mistrzowie po kolei tracili pracę na Uniwersytecie Warszawskim, we wspomnianej katedrze. Nastąpił wtedy symboliczny rozłam wzdłuż ulicy Oboźnej na jedynie słuszne literaturoznawstwo w gmachu Polonistyki uw i opozycyjne w Pałacu Staszyca. Zespół, który tworzył *Wiek teorii*, to ludzie znający tę historię i poczuwający się do odpowiedzialności za pamięć o niej. Okazało się, że ich kompetencje wystarczają, żeby zagospodarować to, co w moim przekonaniu było najistotniejsze przez sto lat polskiego literaturoznawstwa i co nazywałam tematami kulturowymi. Udało się zatem znaleźć i ludzi, i tematy. Praca bywała trudna, ale towarzyszyło jej autentyczne zaangażowanie. Na wielu konferencjach występowaliśmy razem, w ramach jednego panelu, by opowiedzieć światu, czym było i jest literaturoznawstwo polskie. Dzięki temu dowiedziało się o nim parę osób jeszcze przed wydaniem pracy. W jednym z ostatnich numerów „Poetics Today” cytowani są już polscy uczeni. Trochę się zatem wydarzyło przez siedem lat realizacji projektu. A jego zwieńczeniem są monografia i dwa tomy antologii.

Monografia ma bardzo atrakcyjną formę, jest w niej dużo zdjęć. To jeden ze sposobów przedstawienia dziejów literaturoznawstwa polskiego wspólnie ze zdarzeniami literackimi i społeczno-politycznymi, a nade wszystko wspólnie z losami uczonych. Takie założenie przyświeca też przełożonemu i opracowanemu przez Ciebie zbiorowi wspomnień, listów i wierszy Romana Jakobsona, wydanemu w tym roku. Jak

są najbardziej uderzające przejawy tego, że geografia literaturoznawstwa w tej części kontynentu to jednocześnie geografia antropomorficzna i polityczna?

Chciałam stworzyć mapę literaturoznawstwa polskiego z ludzkimi twarzami. Lata temu przeczytałam u Wernera Heisenberga, że naukę tworzą ludzie. Bardzo mi to zapadło w pamięć. Nauka to nie idejki, które przechadzają się w Platońskich zaświatach, tylko żywi ludzie, którzy spotykają się ze sobą, lubią się. Stąd w monografii podrozdział *Kręgi zażyłości* – czasami zażyłości bardzo głębokich, miłosnych i małżeńskich! To casus na przykład Jakobsona. Dużo by opowiadać o jego miłości do Elsy Triolet, w której kochał się również Wiktor Szklowski i która wybrała właśnie Szklowskiego, podczas gdy Jakobson pisał do niej wiersze miłosne. A zatem naukę tworzą ludzie, którzy mają określone biografie, pozycje w świecie przyjaciół i rodziny oraz w świecie społecznym i politycznym. Mają też poglądy. Opowiadając się za jakimś sposobem myślenia w literaturoznawstwie, angażują się w znacznie szersze sprawy społeczno-polityczne. To ich sposób odpowiedzi na Wielką Historię; ich życiorysy są tak bardzo w Historię wpisane, że trudno oddzielić losy osobiste od losów, które zgotowała Historia. Na owo splątanie mamy piękne polskie słowo: żmut. Nie ma powodu, aby go rozplątywać; jest powód, aby go pokazać, bo to żmut jest atrakcyjny, nie same prądy metodologiczne, tylko ich zlokalizowanie, usytuowanie oraz stojący za nimi ludzie. Zdjęcia są tego najlepszym dowodem. W monografii pełnią funkcję komentarza, nie ozdoby. Pochodzą z różnych miejsc, ale przede wszystkim z archiwów domowych. Jesteśmy bardzo wdzięczni osobom, które wygrzebywały je ze starych albumów na pawlaczach, choć nieraz trudno im było tego dokonać. Ostatecznie zdjęć był ogrom. Pomyśleliśmy, że moglibyśmy zrobić album fotograficzny pod tytułem *Wiek teorii*. Te fotografie są różne, ale zwrócę uwagę na dwie, bo dla mnie są kwintesencją literaturoznawstwa. Pierwsza to zdjęcie Aleksandry Okopień-Sławińskiej z Kazimierzem Budzykiem w Pradze. Jak powiedziałam, Budzyk to jedna z najważniejszych person w Warszawskim Kole Polonistów, gdzie się rodziło polskie literaturoznawstwo teoretyczne, a Aleksandra Okopień-Sławińska i Janusz Sławiński to twórcy powojennej dyscypliny, kontynuującej dzieło Budzyka. Skąd zdjęcie w Pradze? Gdy Aleksandra i Janusz wzięli ślub, Budzyk w prezencie zaprosił ich na wycieczkę do Pragi. Współpracował przecież z Praskim Kołem Lingwistycznym, był tam tłumaczony, więc nowożeńców musiał zabrać właśnie do Pragi! Potem Janusz przygotował zbiór pism Jana Mukařovskiego z Koła Praskiego... Zdjęcie oddaje te wszystkie sprawy. Ale są też fotografie dramatyczne, jak druga, o której chcę opowiedzieć. To krótki liścik z 1936 roku studentów uw do Wacława Borowego – dyrektora biblioteki uniwersyteckiej – z żądaniem zaprowadzenia getta ławkowego w czytelni буw-и. Liścik z podpisami. Zanim go zobaczyłam, patrzyłam na relacje polsko-żydowskie na uw przez różowe okulary, to znaczy przez pryzmat Warszawskiego Koła Polonistycznego i Koła Socjologii Pozytywnej Stefana Czarnowskiego, ale okazało się, że to były jedyne dwa koła, które przyjmowały członków narodowości żydowskiej. Inne nie. Podobnie we Lwowie, w Wilnie. Epizodów antysemickich było na uniwersytetach w międzywojennej Polsce bardzo wiele. Gdy odbywał się zjazd studenckich kół polonistycznych w Poznaniu w 1935 roku, endeccy pałkarze próbowali pobić Dawida Hopensztanda. Wtedy mikrusieńkiej postury Konstanty Troczyński zagroził im drogę i przeniósł obrady do własnego mieszkania. W Wilnie pani Kridlowa demonstracyjnie robiła zakupy w sklepikach żydowskich: tej damy z córeczkami pałkarze nie ośmielili się dotknąć. Ale gdy

przygotowywano następny zjazd kół polonistycznych w Wilnie w 1937 roku, studenci postawili warunek, że ma nie być na nim referatów żydowskich. Zdjęcie petycji do Borowego sygnalizuje całą tę historię...

Dzieje nowoczesnego literaturoznawstwa polskiego, zwłaszcza w monografii, zostały opowiedziane w bardzo oryginalny sposób: nie jest to przegląd szkół metodologicznych ani katalog osiągnięć polskich badaczy, tylko zbiór obszernych rozpraw poświęconych tematom kulturowym i ich przemianom w ostatnich stu latach (z okładem). Co przemawiało za takim sposobem prezentacji zagadnienia?

Problematów, którymi parało się literaturoznawstwo polskie przez ostatnie sto lat, było co niemiara. Dla nas decydujący był jednak aspekt, który Stefan Swieżawski nazwał długomyślnością. Za daty otwierające historię literaturoznawstwa przyjęliśmy umownie rok 1912 (między innymi z racji ukazania się Kazimierza Wóycickiego *Formy dźwiękowej prozy polskiej i wiersza polskiego*) oraz lata 1913–1914, kiedy Szklowski wygłosił prelekcję, a potem wydał broszurę *Wskrzeszenie słowa*, powszechnie traktowaną jako tekst założycielski formalizmu rosyjskiego, a co za tym idzie: nowoczesnego literaturoznawstwa teoretycznego. U nas w 1914 roku zostały wydane ważne rozprawy Zygmunta Łempickiego i Borowego, kolejna Wóycickiego. Za datę końcową obraliśmy rok 2014 – żeby było sto lat (choć oczywiście kilkanaście ważnych przywoływanych prac ukazało się z późniejszymi datami). Tematy, które omówiliśmy w monografii i antologii, to te cechujące się trwałą obecnością, czyli właśnie walorem długomyślności; te, które w ciągu stu lat historii polskiego literaturoznawstwa były wielokrotnie podejmowane, przekształcane, analizowane na coraz to innym materiale literackim lub kulturowym, bo niezmiennie nurtowały i nurtują badaczy.

Przedmiotem badań w pracy jest właśnie literaturoznawstwo, czyli dziedzina tak nazwana przez Franciszka Siedleckiego w latach trzydziestych, nie na przykład „teoria literatury”, choć ten drugi termin jest mocniejszy instytucjonalnie i dydaktycznie. Dlaczego?

Jest kilka powodów, dla których zdecydowałam się na tę nazwę. Po pierwsze, chciałam wyzwolić obraz dyscypliny z wystąpień antyteoretycznych, których było bez liku, poczynawszy od końca lat sześćdziesiątych we Francji, potem w innych krajach Europy Zachodniej i w Stanach; jedno z najgłośniejszych to zbiór *Against Theory* z połowy lat osiemdziesiątych. W Polsce te wystąpienia zostały przyswojone z opóźnieniem, za to bardzo chętnie, a bez przemyślenia. Ruchy antyteoretyczne były wymierzone w jedną wersję teorii, zwaną semiotyką generatywną, która panowała bardzo krótko – pięć-sześć lat – ale stała się wygodnym chłopcem do bicia z powodu abstrakcyjnych schematów i niezrozumiałego słownictwa. Przy tym zniknęła pamięć, że literaturoznawstwo, które się zrodziło w pierwszych dwóch dekadach xx wieku w naszym regionie, nie miało nic wspólnego z taką teorią. Zajmowało się nie tylko tekstami literackimi, a nawet nie tylko tekstami językowymi, choć językoznawstwo było jego fundamentem. Inicjatorzy nowoczesnego literaturoznawstwa w Europie Środkowej i Wschodniej pisali także o filmie, plakacie, cyrku, sami uprawiali literaturę. Odrzucenie terminu „teoria literatury” może dobrze pokazać rzeczywiste oblicze i niebywałe rozmach literaturoznawstwa, które zaczęło się w pierwszych dekadach xx wieku i ma się dobrze do dzisiaj, choć bywa różnie nazywane, na przykład poetyką kulturową lub kulturową teorią literatury. Po drugie, nazwa „literaturoznawstwo” pomaga przezwyciężyć stereotypy o rzekomej rozdzielności teorii

oraz historii literatury i krytyki literackiej. Takie podziały powinny przestać pokutować, bo są nie do uzasadnienia. Kim był na przykład Jakobson? Historykiem, teoretykiem, językoznawcą, a może antropologiem? A Michał Głowiński? Teoretykiem, historykiem, poetologiem, ale i pisarzem. Jestem zdania, że trzeba pokazać zazębianie się tych obszarów aktywności intelektualnej i badawczej, choćby przez zmianę słowa – nazwy.

Na rozwój nowoczesnego literaturoznawstwa polskiego istotny wpływ miały związki międzyludzkie zarówno w wymiarze lokalnym, polskim, jak i w wymiarze regionalnym, czyli w Europie Środkowej i Wschodniej. Które z nich uważasz za szczególnie ważne i formotwórcze dla dziedziny?

Jeśli mój pomysł zgeometryzowania naszego regionu jako trójkąta o wierzchołkach w Rosji, Czechosłowacji i Polsce jest sensowny, to w środku tego trójkąta możemy umieścić Jakobsona, a wierzchołki nazwać imionami i nazwiskami jego trzech żon. Pierwsza z nich była Rosjanką – to Sonia Feldman, druga, Svatava Pirkova – Czeszką, a trzecia, Krystyna Pomorska – Polką. Pomorska przetłumaczyła *Poetykę w świetle językoznawstwa* Jakobsona, a Pirkova – folklorystka – opatrzyła wstępem angielski przekład *Morfologii bajki* Proppa. Ta anegdotyczna odpowiedź dobrze pokazuje przenikanie się związków naukowych z przyjacielskimi i miłosnymi. A które z nich były najistotniejsze w polskim literaturoznawstwie? Myślę o Żółkiewskim i trzech związanych z nim osobach. Najpierw Hopensztand, którego Żółkiewski ratował, gdy ten po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej zdecydował się wrócić ze Lwowa do Warszawy, a nie uciekać na Wschód. Żółkiewski przez pewien czas ukrywał Hopensztanda w swoim warszawskim mieszkaniu, choć wiedział, czym to groziło. Potem Hopensztand zdecydował się przejść do getta – zapewne nie chciał narażać przyjaciela – a koledzy z WKP zaczęli pędzić bimber, żeby za pieniądze ze sprzedaży nielegalnego trunku go wykupić. Żółkiewski, który już wtedy miał kontakty z PPR-em, chciał go przerzucić do partyzantki, ale spóźnił się o jeden dzień. Hopensztand zginął. Dalej: Żółkiewski i Borowy, który był luźno związany z WKP, ale bardzo ceniony przez członków koła. Po wojnie Żółkiewski atakował Borowego, zwłaszcza za antologię poezji osiemnastowiecznej, w której znalazła się liryka religijna. Opublikował miażdżącą recenzję w „Kuźnicy”, nazywając pracę „antologią z zakrystii”. Tymczasem w jakiś sposób objawiły się dwa tomy pism Borowego. Do Żółkiewskiego przyszli Jerzy Ziomek i Samuel Sandler – literaturoznawcy przecież marksistowscy – i orzekli, że trzeba te dwa tomy wydać. Żółkiewski pomimo swoich ataków na Borowego odparł: nie po drodze nam światopoglądowo, ale wielki umysł to jest. Podpisał i wydał. I tak studia Borowego ukazały się we wrocławskim „Ossolineum”. Wreszcie: Żółkiewski i Maria Renata Mayenowa. Przed wojną się znali – choć pośrednio – bo Mayenowa była w Wilnie na seminarium Kridla i wzięła udział w publikacji *Prace ofiarowane Kazimierzowi Wójcickiemu*, jeszcze pod nazwiskiem Rachela Kapłanowa. A po wojnie Rosjanie mówili, że Mayenowa to najdroższa kobieta w PRL-u. Dlaczego? Bo dostała największe pieniądze na przedsięwzięcie naukowe – *Słownik polszczyzny XVI wieku*. Przyznał je szef Wydziału Kultury KC, Stefan Żółkiewski. Wspierała ją też wileńska koleżanka, słynna Gienia Krassowska, z którą Mayenowa przez jakiś czas mieszkała w Warszawie. Jak inaczej niż przyjaźniami zadzierzgniętymi w młodości wytłumaczyć takie posunięcia? Nie sposób. Choć być może do więzów przyjacielskich trzeba tu dodać kwestię rzeczywistego – od samego początku – zaangażowania po lewej stronie, jakie było udziałem nie tylko Żółkiewskiego. Żółkiewski po wojnie zobaczył możliwość

realizacji swoich ideałów w praktyce, ale jednocześnie zachował przyjaźnię sprzed wojny. Potrafił też zaryzykować polityczną karierę, na przykład w 1968 roku, gdy przystąpił do strajku studenckiego. **Literaturoznawstwo polskie od początku funkcjonowało w literaturoznawczym sąsiedztwie. Jak wspomniałaś, sąsiedztwo to stanowił trójkąt rosyjsko-czesko-słowacko-polski. Jakie były podstawy i czynniki kształtujące środkowo- i wschodnioeuropejską wspólnotę literaturoznawczą?**

Podstawa tego trójkąta była niemiecka w znaczeniu intelektualnym, merytorycznym. Rosjanie, podobnie jak Polacy, studiowali na uniwersytetach niemieckich, i to najlepszych: w Berlinie, Getyndze, Marburgu; Czesi niekoniecznie musieli, bo mieli uniwersytet niemiecki w Pradze. Co ważne, to w Niemczech najwcześniej zaczęły się dokonywać wyłomy w obowiązującym modelu pozytywistycznego myślenia o sztukach, literaturze i języku, czyli tak zwany przełom antypozytywistyczny. Te inspiracje podziały na wyobraźnię najpierw Rosjan, a potem braci polskich i czesko-słowackich. Jakie natomiast były czynniki zespalające wspólnotę rosyjsko-czesko-słowacko-polską? Po pierwsze, we wszystkich wierzchołkach tego trójkąta była silna awangarda w sztuce, zwłaszcza w malarstwie. Osobiste przyjaźnie literaturoznawców z malarzami – szerzej mówiąc: z artystami i typografami – w całym regionie bardzo intensywnie oddziaływały na sposoby myślenia o literaturze i języku. Niewątpliwie towarzyszyło temu upodobanie jednych i drugich do bojowej, rewolucyjnej młodości. Gdy Malewicz z Jakobsonem planowali najazd na Paryż w 1912 roku – Malewicz miał prezentować swoje obrazy, a Jakobson napisać wstęp do katalogu wystawy – obaj myśleli jedno: my Paryżowi pokażemy, co to jest prawdziwa awangarda futurystyczno-konstruktivistyczna, bo tam panują postimpresjonizmy, niedobra burżuazyjna sztuka! Niestety, plan nie doszedł do skutku. Ale kiedy Marinetti przyjechał do Moskwy i Petersburga, to został wyśmiany z tego powodu, że oświecał Rosjan, podczas gdy oni już dawno przerobili futuryzm. Po drugie, środkowo- i wschodnioeuropejska wspólnotowość literaturoznawcza zasadzała się na wyjątkowej koniunkturze historyczno-politycznej. Rozpadły się trzy wielkie imperia; wybuch pierwszej wojny światowej to początek procesu, w wyniku którego państwa – nie mówię tu o Rosji – odzyskały niepodległość; wtedy wreszcie można było w literaturze literaturę, a nie Polskę albo Czechosłowację zobaczyć! Czesi zaczęli wówczas pisać swoją historię literatury, Polacy przebudowywali swoją i zamiast na romantyzmie skoncentrowali się na oświeceniu. Dlatego po wojnie oświecenie stało się główną – poza pozytywizmem – tradycją, do której nawiązywali marksistowscy badacze literatury. Po trzecie, wspólnotowość cementowało zaangażowanie literaturoznawców – nie tylko w życie społeczno-polityczne, ale i w demokratyzację nauki i sztuki (z czego zresztą PRL też korzystał pełnymi garściami). Na Żoliborzu znajdowało się osiedle Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa – tak zwane szklane domy zaprojektowane na prośbę Edwarda Abramowskiego przez Henryka Stażewskiego. Rozwijało się tam życie kulturalne, prowadzono różne kursy, projektowano mebelki do maciupieńkich mieszkań, upowszechniano uprawianie ogródków, zakładano kluby sportowe i przedszkola. W tych przedsięwzięciach brali udział członkowie WKP, z których część w szklanych domach mieszkała. Hopensztand pod pseudonimem pisał artykuły i recenzje z zaangażowanych w modernizację i demokratyzację społeczeństwa wystaw i działań, choćby w Domu Kolejarzy w Krakowie. Podaję przykłady polskie, żeby nie sypać rosyjskimi i czesko-słowackimi, bo mówimy o naszym literaturoznawstwie, ale wspólnotowość na poziomie regionu

zasadzała się na tych samych ideałach, które były intelektualne, a zarazem społeczne, polityczne i etyczne.

Narodziny światowego literaturoznawstwa w naszej części Europy oznaczają, że istnieją odkrycia polskich badaczy, które mają charakter prekursorski. Większość z nich nie zaistniała jednak w literaturoznawstwie światowym, a niektóre, jak powiedziałeś, wracają po latach jako rzekome nowinki. Jakie są według ciebie najbardziej uderzające przejawy tego zjawiska?

Wystawiając się na ostrzał, w *Wiek teorii* używam określenia „prekursorstwo nieanachroniczne” na określenie nowoczesnego literaturoznawstwa polskiego. Do tego wymieniam dziesięć niewątpliwie prekursorskich odkryć uczonych polskich, które nie zaistniały w literaturoznawczym kanonie. Jednym z nich jest teoria „dysautomatyzacji” Jana Michała Rozwadowskiego sformułowana w pracy *O dysautomatyzacji i jej znaczeniu w rozwoju energii psychicznej* z 1911 roku. Wyprzedziła koncepcję dezautomatyzacji Szkłowskiego, znaną z jego tekstów o sztuce jako chwycie i datującą się najwcześniej na 1917 rok. Gdyby teoria wielkiego językoznawcy i indoeuropeisty, Rozwadowskiego, zyskała sławę, to posługiwalibyśmy się nią, a nie konceptem Szkłowskiego; tym bardziej że Rozwadowskiego teoria „dysautomatyzacji” jest znacznie wszechstronniejsza, bo pokazuje nie tylko mechanizm zdeautomatyzowania naszego obcowania z literaturą za pomocą chwytów uduśnienia, lecz również funkcjonowanie naszych władz mentalnych. Innym prekursorskim odkryciem jest Stefani Skwarczyńskiej teoria użytkowych gatunków mowy, wyłożona w rozprawach o rozmowie i liście, a zwieńczona koncepcją literatury stosowanej oraz teorią gatunków literackich jako gatunków wtórnie naśladowczych. Były to teorie wcześniejsze i bardziej pogłębione niż te autorstwa Tynianowa i Bachtina, a także późniejsze polskie ujęcia literatury na zasadzie mimetyzmu formalnego lub językowego. Skwarczyńska nie tylko powiązała rodzaje i gatunki literackie z naśladowaniem językowych gatunków codziennych; pokazała również, że gatunki literackie naśladują gatunki innych sztuk: malarskich i muzycznych. Są to ustalenia tak znakomite, że ja – tłumaczka Bachtina – pomyślałam: Skwarczyńska go przeraża! A jednak... nie zaistniały. Dlaczego? Polscy literaturoznawcy pisali po francusku i niemiecku, więc prowincjonalność języka nie wchodziła w grę.

A co wchodziło? Poza zainteresowaniami i obszarami aktywności naszej „małej” emigracji, o których wspomniałaś.

Myślę, że okoliczności towarzyszące odzyskaniu przez Polskę niepodległości. W 1918 roku odziedziczyliśmy trzy zabory i żadnego poza Krakowem i Lwowem uniwersytetu z polską tradycją. W wielu ośrodkach miejskich w ogóle nie było uniwersytetu, najwyżej towarzystwa naukowe, jak na przykład w Poznaniu. Brakowało infrastruktury i pracowników naukowych. Polscy literaturoznawcy byli skazani na budowanie nauki od początku. Nie w głowie im była promocja swoich artykułów i wyjazdy zagraniczne. Mieli za to bardzo intensywną współpracę międzynarodową – zeszyty „Rocznika Towarzystwa Naukowego Polskiego” odnotowywały wymianę książek z całym światem, nawet z Tokio – ale była to współpraca raczej pasywna. Niemniej polscy literaturoznawcy uczestniczyli w zakładaniu i pracach instytucji, którymi powinniśmy się chlubić, jak na przykład Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej. To była pierwsza na świecie sowietologia! Instytut działał krótko, bo między 1930 a 1939 rokiem, wydał bodaj tylko trzy tomy swojego periodyku „Balticoslavica”, ale miał duży rozmach: zajmował się zarówno polityką Związku Radzieckiego, jak i kulturoznawczymi studiami bałtyckimi. Jego prezesem został

Jan Michał Rozwadowski, a po jego śmierci w 1935 roku historyk, Stanisław Kętrzyński.

Czy wobec ustabilizowania się kanonu literaturoznawczego – już w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – widzisz realną możliwość wprowadzenia polskiego literaturoznawstwa na scenę światową?

Z wolna powstaje dobra, a nawet znakomita sytuacja dla wprowadzenia kanonu suplementarnego – nie anty-kanonu, nie post-kanonu, tylko kanonu o charakterze uzupełniającym. Kanon się zmienia. Wypadają z niego wielkie, zabalsamowane nazwiska i prace, a wchodzi nowe. Wzoru takiego nieprzyjętego, ale zgodnego z historyczną praktyką ujęcia dostarcza trzynomowa antologia formalizmu, którą w 2016 roku zrobili Rosjanie. Poza pracami Wiktora Szkłowskiego, Jurija Tynianowa i Borisa Eichenbauma prezentuje ona studia nigdy wcześniej nieuwzględniane: Wsiewołoda Meyerholda, Siergieja Eisensteina, Kazimierza Malewicza czy Siergieja Trietjakowa. W taki sposób powstaje koniunktura dla przeorganizowania utrwalonego obrazu, miejsce do wprowadzenia suplementu – na przykład polskiego. Suplementarny materiał może następnie wejść do podręczników i antologii, z których uczą się studenci, a to one kształtują świadomość odbiorców i kanon na kolejne lata.

Nieobecność nowoczesnego literaturoznawstwa polskiego na scenie światowej to niejedyny problem. Dlaczego literaturoznawstwo polskie nie tylko nie przebiło się do wiedzy obiegowej za granicą, lecz również w Polsce – przynajmniej do publikacji *Wiek teorii* – było rozpoznawane jedynie punktowo?

Bardzo trudno mi to wyjaśnić. Gdy patrzę na angielskie lub węgierskie podręczniki do teorii literatury, widzę, że zaczynają wykład od własnej teorii, dopiero potem przechodzą do światowego formalizmu, strukturalizmu i innych koncepcji. W polskich podręcznikach jest odwrotnie. Być może powodem jest to, że niektóre nowe podręczniki powstawały w atmosferze antystrukturalistycznej; na przykład *Teoria literatury xx wieku* Anny Burzyńskiej i Michała Pawła Markowskiego. Inne wyjaśnienie jest takie, że antologie polskiej teorii literatury i prace jej poświęcone kończą się na 1939 roku, jakby później czas się zatrzymał. Powstają prace puentystyczne, coś o hermeneutyce, o psychoanalizie, o poszczególnych badaczach, ale spojrzenia na całość brakowało. To był też powód mojej irytacji: jak długo będziemy udawać, że świat polskiego literaturoznawstwa skończył się na ostatnim roku międzywojnia? Poza tym: kto miałby napisać pracę, którą my odważyliśmy się napisać? Nie twórcy literaturoznawstwa ze środka – nie Janusz Sławiński, Aleksandra Okopień-Sławińska, Michał Głowiński, Edward Balcerzan, Małgorzata Czermińska... My jesteśmy tymi, którzy mogli to zrobić. Ja nigdy nie byłam nikim innym niż historykiem literaturoznawstwa, nie podobało mi się wymyślanie teorii, bo wydawało mi się to zbyt łatwe. Interesowała mnie przede wszystkim pamięć historyczna, dlatego uznałam, że jako historyk, a nie teoretyk – historyk, który był trochę w środku, w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych – mogę sobie na taką pracę pozwolić. To też jest jakiś kawałek odpowiedzi na twoje pytanie. Trzeba jednak powiedzieć, że wciąż jest dużo momentów, o których pisać nie sposób, bo nie wiadomo jak; są to przede wszystkim sprawy związane z 1968 rokiem.

Na obecność nowoczesnego literaturoznawstwa polskiego w tym, co nazywasz naukosferą, z pewnością wpłynie antologia towarzysząca monografii. We wstępie do niej pisałaś o wielo-ułomnościach gatunku, ale cały wstęp zatytułowałaś *Siła antologii*. Jaka jest najmocniejsza strona wypisów stanowiących część *Wiek teorii*?

Antologia wydobywa z zapomnienia liczne teksty od dawna nie funkcjonujące w obiegu czytelnictwa, a w naszym przekonaniu ciągle inspirujące i warte czytania. Jest w nich wiele pomysłów, które nadal nie zostały pojęte. Dotyczy to zwłaszcza najstarszych tekstów, stąd decyzja, żeby je wydrukować w całości, *in extenso*, w takiej postaci, w jakiej funkcjonowały w oryginale; przykładem może być rewelacyjna rozprawa Wóycickiego. Niektórych tekstów nie udało nam się jednak włączyć – choćby Rozwadowskiego o „dysautomatyzacji” – ze względu na prawa autorskie, które, jeśli nie znajdzie się spadkobierców, są nieubłagane. Teksty nowe i najnowsze czytane w kontekście starszych, w przekroju długości, okazują się niewiarygodnie ciekawe, bo podejmują i przekształcają – świadomie lub nie – te same tematy kulturowe, rozwijają je na materiale nowych tekstów literackich i tekstów kultury, osadzają w innym otoczeniu. I nagle te dawne teksty, często pospieszne, rzucane mimochodem, w trybie – jak mówił Eichenbaum – nauki gazetowej, okazują się mocnymi pomysłami, które potrafiły doprowadzić do fantastycznych rezultatów. I w zakresie tekstów najnowszych nie wszystkie udało się jednak włączyć, bo wiedzy wciąż przybywa. Na przykład z dziedziny literatura–muzyka mamy znakomity artykuł Andrzeja Hejmeja o Arii: *Awarii* Barańczaka; ale parę dni temu dostałam nową książkę Piotra Bogaleckiego o wierszach partyturach w poezji polskiej awangardy i myślę, że gdybym dzisiaj robiła tę antologię, to bym na coś z niej namawiała, bo jest to niezwykle świeże pokazanie tekstu graficznego i akustycznego równocześnie. Czekają jednak na następną antologię. Siła antologii przy wszystkich jej wadach – polegających na tym, że urabia świadomość, coś wycofuje, dekanonizuje i kanonizuje równocześnie, że działa trochę przemocowo – sprowadza się do tego, iż jednocześnie potrafi inspirować do następnych odkryć. Gdyby nasza antologia funkcjonowała w sieci, to mogłaby się rozwijać w nieskończoność.

Każda antologia ma ukryty, ale zamierzony wymiar performatywny. Jaki jest wymiar waszej?

Jednym z moich założeń metodologicznych jest agnotologia, czyli teoria niewiedzy. Mieliśmy wspaniałą socjologię wiedzy, ale na początku lat siedemdziesiątych powstała również socjologia niewiedzy, świadomie anty-Weberowsko-Mannheimowska. Agnotologia nie zaistniała w Polsce – znalazłam tylko dwie polskie prace na ten temat – a dla mnie była odkryciem. Pokazuje ona, że są różne rodzaje niewiedzy. Po pierwsze, jest niewiedza, która wynika z nieuctwa – tę zostawmy. Po drugie, niewiedza, którą zajmują się głównie socjologowie, czyli manipulowanie świadomością poddanych lub obywateli przez władzę, na przykład ukrywanie informacji o środkach antykonceptyjnych przywiezionych z egzotycznych krajów do Europy w XVII wieku albo o efekcie cieplarnianym w latach dwudziestych. Ale jest też niewiedza bezwiedna, nieświadoma, powstająca na następującej zasadzie: coś się nie utrzymało, nie weszło do kanonu, w konsekwencji o tym nie wiemy. Na twoje pytanie odpowiedziałabym tak: antologia wyrasta z potrzeby przeciwstawienia się różnym odmianom niewiedzy, zwłaszcza tej ostatniej. Przewycięzanie niewiedzy określa jej wymiar performatywny.

Pokazałaś sto lat nowoczesnego literaturoznawstwa polskiego jako rozciągniętą w czasie odpowiedź na wyzwania rzeczywistości naukowej i artystycznej, ale i społeczno-politycznej. Ulokowanie w przestrzeni komunikacji społecznej między nauką a polityką uznałaś nawet za element tożsamości dziedziny w Polsce. Dziś trwają dyskusje na temat roli literaturoznawstwa i szerzej – humanistyki – odgrywanej w sferze

politycznej, a także społecznej, kulturowej, codziennej. Jak oceniasz tę rolę?

Niedawna wypowiedź pewnego urzędnika ministerialnego, zgodnie z którą największe zagrożenie stanowią historycy i literaturoznawcy, powinna nas wprawiać w niebywałą dumę, bo zdradza, że jedni i drudzy mają wpływ na kształtowanie świadomości społecznej. Próba zepchnięcia humanistyki na margines różnymi sposobami, na przykład przykładaniem do niej miar stosownych do nauk ścisłych – parametrów, współczynników kosztochłonności, umiędzynarodowienia, języków kongresowych – świadczy z jednej strony o jej społecznej randze, z drugiej o tym, jaka jest groźna. Dlaczego formalisci rosyjscy – w muzyce Szostakowicz i Prokofiew, liczni malarze i literaturoznawcy – zostali pozbawieni głosu koło 1925–1926 roku? Właśnie dlatego, że byli zagrożeniem, bo uświadamiali. Wszyscy – i to było ich największym odkryciem przed Klempererem – uświadamiali performatywną funkcję języka: to, jak można manipulować człowiekiem, coś mu wmaiwiając albo czegoś mu nie mówiąc. Niczym innym nie był język dla formalistów, jak tą właśnie kształtującą siłą. Moje ulubione wspomnienie Szklowskiego: z przyjacielem Jakubińskim – Lew Jakubiński był językoznawcą – chodzili do portu uczyć marynarzy teorii języka poetyckiego. W 1917 roku! Po co? Po to, żeby uzmysłowić im, co język robi – nami i z nami; co potrafi. Stąd w literaturoznawstwie nowoczesnym postawienie na krytycyzm i samokrytycyzm, na rozbudzenie krytycznej świadomości społecznej w stosunku do różnych sił, z których większość materializuje się w komunikacji językowej. Jak mówił Bachtin: język to w życiu ludzkim prawie wszystko!

Jedną z książek, którą niezwykle cenię, to rozprawa Leo Spitzera z 1923 roku *O słowie „głód” i sposobie jego parafrazowania we włoskim języku potocznym*. Spitzer w czasie pierwszej wojny światowej był zatrudniony jako cenzor w obozie dla jeńców włoskich. Miał czytać listy jeńców do rodzin i wykreślać z nich zakazane słowa, a najbardziej zakazanym było słowo „głód”. Jako wybitny filolog-romanista, szybko zorientował się, że słowo „głód” w listach nie padało, ale były tysiące jego parafraz. Po dziesięciu latach napisał wielką rozprawę o sposobach parafrazowania i sformułował w niej teorię podwójnego adresata. Zgodnie z tą teorią, każda wypowiedź ma adresata właściwego i niewłaściwego. Inny sens przekazujemy jednemu i drugiemu. Adresat właściwy, którego tło perceptywne znamy, na podstawie delikatnej aluzji zorientuje się, o co chodzi. Adresat niewłaściwy czyta wyłącznie na poziomie słownikowej znajomości znaczeń wyrazów. Ta koncepcja trochę trąci Ketmanem, ale się sprawdza. Literaturoznawcy mają to do siebie, że czytają w wypowiedziach polityków dużo więcej niż adresaci niewłaściwi, do których te wypowiedzi są zaadresowane, a którzy czytają wyłącznie powierzchawnie. Przywołam jeszcze jeden przykład: *Marcowe gadanie* oraz inne socjolingwistyczne teksty Głowińskiego. Głowiński pokazywał w nich potężną, a perfidną moc języka w naszym żywocie. To pokazywanie właśnie określa rolę humanistyki, zwłaszcza literaturoznawstwa, które pracuje na najtrudniejszych tekstach – literackich. Najtrudniejszych, bo to w nich tkwi największa moc demaskacji językowej, obnażania tego, co język robi, i jak możemy temu dać odpór lub przynajmniej to sobie uzmysłowić; nie być biernym stadem, które przyjmuje najgłupszą, najmniej wiarygodną informację. Literaturoznawstwo jest po to, żeby uczyć myślenia i rozumienia rzeczywistego sensu wypowiedzi. A jego siła jest niebywała!

Należy się go bać?

Zdecydowanie! ☺